Świat powieściowy.

Nr. 133 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

# Złamany a nieugięty.

## *Powieść w trzech częściach.*

(Ciąg dalszy)

Hrabina padła na kolana, przyczołgała się do niego i ramionami objęła jego nogi. On wziął ją jak dziecko w objęcia i złożył na sofie, nie rzekłszy słowa uspokojenia, nie dotknąwszy nawet ustami ócz przymkniętych Przysunął tylko nizki aksamitny stołeczek i usiadł u nóg jej, tak blizko, że szeptem prawie kończył rozpoczętą powieść:

— Gdy młodzieniec otworzył oczy przyszedłszy do przytomności, zobaczył u łoża swego siedzącego mężczyznę, którego twarz była prawie młodzieńcza, a włosy jak śnieg białe. Na poruszenie chorego zamknął książkę, w której zdawał się zaczytany i przystąpiwszy do niego położył mu dłoń swą na ustach. „Cicho, ani słowa“ rzekł i przytknął mu do ust napój jakiś. „Wypij do dna i spij do rana.“ Chory jakby na rozkaz po wypiciu podanego napoju zamknął oczy. W parę dni później, przy troskliwej opiece gospodarza, zdrowie wróciło do normalnego stanu. Na nieszczęście i pamięć wróciła! Powiedz mi pani, co robić gdy wróci pamięć, odezwą się wspomnienia?! Przyjaciel mój był młody, niepohamowanem uczuciem nienawiści dla ojca i miłości dla kochanki pierś mu grała, więc szalał z rozpaczy! Chciał w tym obłędzie pójść w świat daleko, lecz uczuł na ramieniu swojem żelazną dłoń nieznajomego człowieka, który z narażeniem życia własnego wydarł go śmierci; chciał powtórnie zakończyć moralne męczarnie ale surowy wzrok gospodarza krępował go niewidzialnemi pętami. Młodzieniec zżymał się jak lew w klatce zamknięty, tarzał się z bolu i pytał człowieka, który nieproszony roztoczył wpływ swój nad nim, jakiem prawem wciska się w jego życie i staje na drodze żywota?! Wtedy on, ten wielki i wzniosły człowiek, on Ryszard bez nazwiska, wziął go za rękę i poprowadził do ogrodu, jak chore dziecię posadził na ławce i opowiedział historję swego życia, której nie mam prawa powtórzyć. A była to historja krwi i łez! Ten człowiek, bogacz z urodzenia, przeszedł przez łachmany żebracze! Nazwisko znane i czczone swych antenatów, splamił hańbą w chwili grzesznego uniesienia! Szlachetny z natury, idąc za popędem namiętności, stał się zbrodniarzem, a uciekając przed sądem ludzi, samobójstwem chciał życie zakończyć!... I ukazał mu się anioł w postaci kobiety. Spodlonego przygarnął i wprowadził na drogę cnoty i prawdy. Ryszard dawny umarł, a z popiołów jego powstał człowiek czynu i poświęcenia, człowiek pracy, nieugiętego ducha i silnej woli!... Takim był ten, który stał się mistrzem biednego, oszalałego młodzieńca. Długo borykał się on i rzucał niemogąc zwalczyć żalu i rozpaczy, nareszcie słowa i przykład nowego przyjaciela poczęły mu powoli zdejmować z oczu kataraktę egoizmu, aż w końcu przejrzał zupełnie i zobaczył światło jasne, które odtąd miało być celem jego życia, nauczył się kochać kochankę w całej ludzkości... Rzucił się więc na pole nauki — którą dawniej uprawiał — jak spragniony do źródła orzeźwiającego, a po długich latach pracy stanął nareszcie u wytkniętej mety. Mógł już teraz czynić wiele dobrego — przynieść ulgę cierpiącej ludzkości. Miłość dla ukochanej nie umarła w jego sercu, ale potrafił wspomnienie jej chować w duszy jak relikwię, pieścić się czasem wspomnieniem jakby snu czarownego, nie roztkliwiając się niem już dzisiaj. Było ono bodźcem a nie przeszkodą do czynów szlachetnych. Potem zmienił nazwisko, zaparł się języka ojczystego i przysiągł uroczyście przyjacielowi i sobie, że dawny samolubny młodzieniec, który okazał się dzieciuchem i tchórzem, nie umiejącym pokonać siebie samego, któremu

zabrakło siły do dźwigania ciężkiego brzemienia życia, nie powstanie już nigdy z mogiły, w którą zamiast niego złożono jakiegoś jak on nieszczęśliwego!...

Powstał teraz i stanął przy hrabinie, która od długiej już chwili stała obok niego, blada jak posąg, bez łzy w oku a głosu w piersi. Wziął obydwie jej ręce w swoje dłonie, odsłonił swe oczy, magnetycznem spojrzeniem wpił się w jej źrenice i rzekł głośno, powoli, stanowczo i tak uroczyście, jakby odczytywał skazanemu nieprzebłagany wyrok śmierci:

— Arnold Kohlmann umarł i nie powstanie nigdy — nigdy — nigdy! Przyjaciel jego, ja, Dymitr Dymitrow, przysięgam tobie Paulo Salden — a wierz mi, że przysięgi nie złamię — że dla niego umarła także ubóstwiona, ukochana Paula! Widzieć w niej może tylko żonę innego, żonę ojca swego, a węzeł ten nawet po jego śmierci pozostać musi nieprzebytą zaporą pomiędzy nimi! Potwierdź pani, żeś mnie zrozumiała i jeżeli masz odrobinę litości nad sobą i nad nim, staraj się żyć i iść drogą obowiązku!...

Słaby, cichy jęk, rozdarł białą pierś hrabiny i usunęła się zemdlona na parkiety okryte dywanem. Dymitr Dymitrow ukląkł przy niej i wpatrując się w śliczną twarzyczkę zemdlonej, objął dłonią rozpaloną swe czoło, a pierś mu się głuchem łkaniem podniosła. Nie miał teraz już siły złożyć jej na sofie, przycisnął tylko piersi własne gwałtownie i szepnął:

— Milcz serce! wolno ci ją kochać tylko miłością, jaką kochać musisz świat cały!

Potem podszedł chwiejąc się do taśmy dzwonka, a nadbiegła służba pomogła mu w ratowaniu zemdlonej.

* * *

Dwa miesiące upłynęło od tego wieczora.

Lekarz powróciwszy do Lwowa zachorował niebezpiecznie, staranna jednak pomoc życzliwych kolegów wkrótce powróciła mu zdrowie.

Hrabina nie wzywała go więcej. W czasie jego choroby było kilka telegramów, lecz podpisanych nazwiskiem młodego sekretarza.

Po przebytej chorobie, na nowy naglący o przyjazd telegram sekretarza, Dymitr Dymitrow pojechał. Zastał hrabiego na stopie zupełnej rekonwalescencji, hrabinę zaś zmienioną do niepoznania. Piękność jej nie ucierpiała na tem przeistoczeniu, chociaż lica jej były bez kropli krwi, oczy łzawe i sinemi obwódkami okolone, a głos monotonny i głuchy jak odgłos dzwonu pogrzebowego.

Powitali się jak dwoje obcych, nie podając sobie nawet rąk na powitanie. Uparcie trzymali się fotelu, na którym spoczywał bezwładny hrabia, a gdy ten wśród jedzenia usnął, hrabina podniosła oczy na bladego i ponurego lekarza, i zapytała spokojnie:

— Czy dobrze tak?

— Dobrze! — odrzekł i spojrzał na nią z współczuciem. — Dzięki ci pani! Pojęłaś wielki obowiązek jaki na tobie cięży, pojęłaś także słowa modlitwy...

— Ja nie mogę się modlić! — przerwała sucho. — Nie mam ani o co prosić, ani za co dziękować!

— Nie mów tak pani, to bluźnierstwo nie godne kobiety-chrześcijanki! Powinnaś prosić Boga o zdrowie fizyczne i moralne, o wytrwałość i siłę, o przebaczenie za uczucie, które ci zasłoniło światło prawdy!... To grzeszna miłość hrabino — mówił ciszej — samolubne to i zbyt miękkie uczucie, które obejmuje jedną istotę. Życie nasze nader krótkie, i gdy staniemy na progu drugiego życia, Zbawiciel surowo nasze czyny sądzić będzie, a gdy zapyta, cośmy uczynili z darami Jego, cóż odpowiemy?

— Żeśmy wycierpieli bezmiar bolów niewinnie! — odrzekła z goryczą. — Ja przynajmiej podniosę głos skargi i rzucę ją przed tron Tego, który powinien być litością samą, a nie ma litości nademną!

— Biedne, rozpieszczone dziecko! Długoż jeszcze będzie rwać ci się serce z bolu, nim pojmiesz, żeśmy powinni zaprzeć się własnego szczęścia i złożyć je w ofierze na ołtarzu obowiązku?! — rzekł Dymitr i pochylił się ku niej. — Sądzisz więc pani, że może istnieć prawdziwe szczęście, gdy ono nie wznosi się na piedestalu szlachetności? Mówisz, że nie masz za co dziękować Bogu; otwórz tylko oczy szeroko i spojrz w koło siebie, a zobaczysz ile dobrego zdziałać możesz, ile łez otrzeć, ile wnieść światła temu biednemu, ślepemu ludowi, który cię otacza niemal w stanie zbydlęcenia, a ty możesz tchnąć weń duszę. Patrz, Bóg dziwnem zrządzeniem postawił cię przy boku tego

starca, który schorzały dziś zbliża się do grobu, jak żył lekkomyślnie i grzesznie, bez myśli wyższej, bez wiary w sprawiedliwy sąd Boga. On zrobił w życiu tyle złego, napoił żółcią dwa życia młode, zdeptał nogami najświętsze uczucie syna, którego matkę w grób wpędził! Czyż nie szczytne posłannictwo Bóg tobie naznaczył, byś rozbudziła to oschłe serce, byś się stała ożywczą rosą dla duszy nędznika?!

— Nie mogę! nie mogę! — szepnęła biedna kobieta, załamując kurczowo białe dłonie. — Oh! nie mogę!... serce mi pęka!

— I cóż znaczy jedno pęknięte serce wobec całej cierpiącej ludzkości?! — rzekł cicho Dymitr. — Stwórca taki tylko ciężar wkłada na ramiona nasze, jaki unieść zdołamy. Jeżeli żyjemy, znak to, że silnej woli tylko potrzeba, a staniemy tam, gdzie on, Bóg-człowiek, miejsce nam naznaczył! Mówisz, że nie masz za co dziękować? A za stanowisko twoje, które ci daje możność czynienia tak wiele dobrego; a za te świecidła i drogie łachmanki, któremi możesz łzy otrzeć nieszczęśliwym; a za tę wielką łaskę Boga, która nie dała ci upaść moralnie; za to, że dziś nie stoisz tak nisko byś potrzebowała otrząsać się z błota; za tę miłość, którejś nie sponiewierała, lecz przechowała czystą i nieskalaną. O, pani! podobna jesteś do brzydkiego skąpca, który zanurzając ręce w skarbach, nie tylko że nie chce dzielić się niemi z ubogimi, ale chciwie ogląda się i pragnie więcej jeszcze. To nie godne ciebie! Nie taką chciałby widzieć Paulę ów Arnold umarły!

— Arnold! — zawołała hrabina opierając głowę o poręcze fotelu — Arnold! — powtórzyła. — Litości! litości Dymitrze Dymitrow! Jam kobieta nie męczennica święta, która z uśmiechem szła na tortury!

— Nie trzeba uśmiechu tylko rezygnacji; — później i uśmiech się znajdzie. Mówię ci to pani z własnego przekonania... Sercu rozkazać można, gdy idą w pomoc szlachetne pobudki. Wszak znasz hrabino słowa Zbawiciela, któremi koił płaczącą matkę przy zwłokach córki: „Ona nie umarła lecz spi.“ I do miłości naszej można to zastosować.

— Niech się obudzi! och, niech się obudzi choć na chwilę! — szepnęła błagalnie hrabina.

— Posądzam cię pani, że nie umiesz codziennego pacierza i chcesz igrać niebacznie z ogniem. „I niewodź nas na pokuszenie“ — rzekł surowo i poważnie lekarz, a wziąwszy obydwie jej rozpalone dłonie w swoje ręce i patrząc jej prosto w oczy, rzekł powoli: — Pamiętaj Paulo Salden, że jeżeli trup Arnolda Kohlmanna ożyje i złamie przysięgę daną sobie i przyjacielowi, będziesz miała na sumieniu cześć jego, a utrata tejże otworzy mu napowrót grób głęboki!

Głuchy, cichy jęk wyrwał się z piersi hrabiny, po chwili zaś rzekła cicho i głosem drżącym z niepewności i obawy:

— Człowiek schorzały umrzeć może, a wtedy...

— Wtedy — podchwycił lekarz — wtedy syn pamiętny zbrodni ojca, nie wejdzie w jego ślady z pewnością, nie oszuka własnego sumienia, nie splami się kazirodztwem i nie przyciśnie nigdy do serca tej, która była żoną jego ojca! nigdy! rozumiesz pani? nigdy!

— Nigdy! — powtórzyła hrabina jak grobowe echo i powstała z siedzenia. — Chory spi ciągle — rzekła spokojnie — zostawiam cię przy nim Dymitrze Dymitrow... wrócę za chwilę... i wyszła, a gdy w parę godzin kamerdyner wszedł do jej buduaru z oznajmieniem, że herbata podana, zastał ją na kolanach, a piękne, białe jej czoło, chłodziło się o marmurowe płyty posadzki.

Od tej chwili, pomimo, że Dymitr często odwidzał pacjenta, że długie chwile spędzali we dwoje przy spiącym chorym, żadne słówko aluzji, odnoszące się do przeszłości, nie zamąciło już spokoju serc ich. Czy w istocie burze, miotające dwojgiem serc tych skołatanych, uspokoiły się choć w części, czy rezygnacja cicha wstąpiła w dusze zbolałe, czy też oszukiwali tylko sami siebie, Bóg to, jeden mógł wiedzieć! To tylko pewna, że z nieczułej i zobojętniałej na wszystko istoty, powstała hrabina pełna energji i działalności.

Z planów wykonywanych przez Dymitra, poczęły się wznosić w dobrach rozległych rozmaite dobroczynne zakłady, stanęły szkoły i szpitale, szpichlerze z zapasami dla podupadłych, domy przytułku dla nędzarzy i kalek. Kierownictwo objęli zacni ludzie, fachowi w swym zawodzie. Hrabina doglądała sama wszystkiego i ukazywała się wszędzie. Uśmiech często już teraz okraszał

blade usteczka, łzy nie wilżyły więcej cudownych oczów, tylko bladość dawna nie ustępowała.

Hrabia pomimo wieku późnego, doznał cudu prawie. Wsparty na ramieniu pięknej, bladej żony i chmurnego a spokojnego lekarza, mógł wyjść na galerję oszkloną i napawać oczy widokiem cudownej sielskiej natury. Za wpływem hrabiny zaczął sobie przypominać, że w dzieciństwie dłoń matki kładła krzyż na czoło jego, a choć i dzisiaj w nic nie wierzył, prócz tego co mógł dotknąć lub zważyć w dłoni, nie wyśmiewał jednak żony, gdy ta w rozmowie z nim dotykała strony religijnej. Nie powiemy tego, by hrabina zbliżyła się do męża z przekonania własnego, by weszła na nową a pożyteczną drogę życia z własnego popędu wewnętrznego. Niestety nie! Była ona tylko biernem i posłusznem narzędziem, podległem wpływom Dymitra Dymitrow, którego kochała wszystkiemi zespolonemi miłościami, od owego wieczora, w którym dał się jej poznać.

Jednego razu, gdy była sama z mężem, rzekła do niego:

— Wiesz hrabio, zaczynam żałować, że Bóg naszego związku potomstwem nie pobłogosławił. Smutne i bezbarwne życie takie bezcelowe!...

— Mnie to obojętne — odrzekł hrabia sucho. — Dzieci, to spadkobiercy, czyhający na życie rodziców, po którychby jak najprędzej chcieli odziedziczyć majątek.

— A jednak przyznam ci się — rzekła niby obojętnie bawiąc się koronkami sukni — chwilami przychodzi mi na myśl zapytać cię, czy z ubiegłych lat twej młodości, którą spędziłeś w zwycięztwach i tryumfach nad płcią piękną, nie pozostał jaki potomek, którego byś mógł dziś przybrać za syna i naprawić wyrządzoną krzywdę oddając nazwisko i część majątku. Przecież starość znośniejszą by ci była...

— Mnie i tak dobrze na świecie! Poczciwy Dymitr Dymitrow uwziął się, by mi zdrowie powrócić, a mając zdrowie cóż mi brakuje? Mam przecie ciebie! — dodał z galanterją. — Ale à propos Dymitrowa, wiesz, że on mi czasami przypomina tego szaleńca Arnolda, który nawiasem powiedziawszy był moim synem. Pamiętasz Arnolda?

— Trochę... — odrzekła, błądząc oczyma po suficie.

— Nie mogę dotąd pojąć tego warjata! — ciągnął hrabia dalej — bo dziś mogę ci już powiedzieć, że w zamian za ciebie dawałem mu majątek i imię, i chciałem go w chwili szalonej mej wówczas dla ciebie namiętności, prawnie uznać za syna i przyszłego dziedzica majątku, nie zachodziła żadna bowiem wątpliwość pod względem mego ojcowstwa. Lecz ten warjat ani słuchać nie chciał! Nic nie chciał prócz ciebie. Dopiero gdy mu zagroziłem, że w jego oczach w łeb sobie wypalę, zmiękł chłopiec! A na honor byłbym to uczynił! Oczarowałaś mnie wówczas hrabino, bo też na scenie w balecie wyglądałaś cudownie! Wszystkich świętych mogłaś skusić! Co za myśl też miałaś połamać te śliczne nóżki! Dziś choć tańczysz, nie masz już tej nadpowietrznej lekkości. Nic więc dziwnego, że i ten biedny Arnold szalał za tobą, to tylko dziwne, iż się wolał utopić, niż używać tego wszystkiego, czem go udarować chciałem! Żal mi go doprawdy! — mówił gryząc słodkie pastylki tak obojętnie, jakby mówił o psie zaginionym.

— Nie mówmy o przeszłości — rzekła hrabina głosem, w którym drżała nienawiść. — Ale powiedz mi hrabio, gdyby tak naprzykład Arnold żył teraz...

— To być nie może! Widziałem i dotykałem jego trupa.

— Jednak gdyby? — ciagnęła uparcie kobieta. — Dzieją się cuda czasem... mógł go kto wyratować.. trup mógł być tylko podobny...

— Zkąd te myśli hrabino? Arnold pochowany, a gdyby kto zgłosił się pod jego nazwiskiem, komponując bajeczkę, w którąbym nie uwierzył, nazwałbym go oszustem i nie przyznał praw żadnych. To naturalne przecież! Zadzwoń, proszę cię, hrabino i każ mi podać lody — nieznośne gorąco!

Na tem skończyła się rozmowa, której już nigdy nie wszczynała Paula. Na zewnątrz była ona uśmiechnięta i spokojna, w sercu jej jednak odbywała się z dniem każdym cięższa walka i wyczerpywała siły. Życie jej liczyło się na te tylko godziny, w których widywała Dymitra.

* * *

(Dokończenie nastąpi).

# L'OMBRA.

## NOWELLA

I.

O mil kilka od Neapolu, zbudowano w roku 1400 pałac książąt Sanseverone. Pańska ta siedziba, oparta o jeden z mnogich pagórków, które ułożyły się w tem miejscu amfiteatralnie, zachowała dotąd cechę artystów rozmaitych, którzy pracowali nad jej upiększeniem. Rzeźby są prześliczne, całość wygląda lekko i elegancko, chociaż imponuje swoim ogromem. Od północy osłaniają pałac lasy niebotyczne, z kąd wypływa rzeczka Surno, przed samym budynkiem jest obszerna terasa, z której szerokie schody marmurowe, prowadzą do ogrodu najcudowniejszego, gdzie kwitną kaktusy i aloesy, mieszając zieleń ciemną i ponurą, z kolorem szmaragdowym gaików cytrynowych i pomarańczowych.

Początek rodu Sanseverone'ów, gubi się w czasach zamierzchłych, zajmując niegdyś miejsce wybitne w historji neapolitańskiej; w wieku ostatnim książęta z tego domu usunęli się zupełnie od polityki, aby poświęcić się wyłącznie sztukom pięknym. W chwili, gdy zaczyna się nasze opowiadanie, całą rodzinę składali: stary książe Geronimo Sanseverone, i wnuczka jego, dziecię jedyne po synie pozostałe, który również jedynak u ojca, zginął w kwiecie wieku w pojedynku nieszczęśliwym. Spadkobierczyni młodziutka, wielkiego imienia i majątku Sanseverone'ów, nie miała już i matki, gdyż ta, męża namiętnie kochając, poszła za nim do grobu. Dziecię nawet, wówczas jeszcze w pieluszkach, zatrzymać jej tu na ziemi nie mogło. Oprócz dziadka, mieszkał stale w Alpino lord Stève, szwagier księcia Geronimo, który miał za żonę Angielkę. Nikogo nie widywali, z nikim nie żyli, ich światem całym był pałac i ogród, będąc atoli ludźmi uczonymi, a do tego całą duszą artystami, mieli czem życie sobie uprzyjemnić i czas zapełnić. Roskoszą obydwóch staruszków była Erminja, Minia, jak ją pieszczotliwie nazywali. Książe posiadał wielkie serce i postawę wspaniałą, prawdziwie wielko-pańską, dobroć malowała się w każdem jego słowie, głos był miękki, łagodny, dziwnie przejmujący; niegdyś śpiewak znakomity, pozostał biegłym i doskonałym muzykiem. Lord Stève (jak się wyrażał żartobliwie) zanim zawinął do portu cichego i bezpiecznego na resztę dni swoich, wiele podróżował, był człowiekiem nadzwyczaj wykształconym, i to co widział, (a objechał świat cały,) umiał opowiadać nader interesująco; jego zmysł spostrzegawczy, dowcip i swada nieporównana, przytem ułożenie pełne dystynkcji, zdradzały czystej krwi arystokratę, który atoli pojmował wyższość rodu nie inaczej, tylko jako obowiązek służenia niższym za wzór w elegancji, grzeczności i niesłychanej delikatności. Mimo częstych napadów podagry, która go nieraz zupełnie ubezwładniała, zachował w życiu codziennem wesołość niemal dziecinną, za co mała Minia serdecznie go pokochała.

Książe i lord Stève, podzielili się staraniem o wykształcenie umysłu dzieweczki. Zrazu ucząc w zabawie, tak zachęcić ją do nauk potrafili, iż wkrótce oddała się tymże z namiętnością, bez trudu prawie. W muzyce pomagał im signor Giulio Barini, niegdyś tenor sławy głośnej w całych Włoszech i doskonały nauczyciel śpiewu. Kłótnia z jakimś Monsignore, o mało nie wtrąciła go do więzienia w twierdzy Anioła w Rzymie, gdzie mógłby był pozostać lata zapomniany. Uratował go książe Sanseverone, uwożąc z sobą do Alpino, gdzie wkrótce Barini'ego talent genjalny, prostota, wdzięczność bez granic, a szczególniej przywiązanie najczulsze do małej dzieweczki, kazały go niemal uważać za członka rodziny. Elewka jego miała zostać artystką pierwszorzędną, złączywszy z głosem prześlicznym, po dziadku odziedziczonym, metodę najlepszego mistrza włoskiego. Barini był to starowina wątły, chuderlawy, o rysach zwiędłych, z twarzą barwy pomarańczowej, mnóstwem zmarszczków poraną. W oczach jednak czarnych, przenikliwych, tlił dotąd ogień niespożyty wiekiem i trudami zawodu, ogień, który Genjusz zwykł zapalać w źrenicach wybranych swoich. Z dumą wspominał dotąd o swoich tryumfach na pierwszych scenach włoskich, o duchu niepodległym, który nawet przed kardynałem nie chciał się ukorzyć, o niebezpieczeństwie, z którego książe go wyratował. Szanował za to protektora swojego i kochał na równi prawie ze sztuką, którą ubóstwiał. Powtarzał też raz w raz z miną uroczystą:

— Za to mała nasza księżniczka, musi zostać pierwszą spiewaczką na świecie! Głos ma niezrównany, a i metoda Barini'ego coś warta!

Dwaj starcy patrzyli wtedy z rozrzewnieniem na dzieweczkę, myśląc w duchu, iż Bóg ją w rzeczy samej hojnie obdarzył. Z babki miała złote włosy i płeć liljową Angielek, z ojca oczy duże, szafirowe, dziwnie piękne i urocze, ocienione łukiem brwi czarnych, jak aksamit puszystych i firanką rzęs ciemnych, cudnie odbijających od lic śnieżnej białości. Rysy klasycznie regularne, ożywiał uśmieszek wesoły, figlarny, który robił ją czarującą; wyraz twarzyczki delikatnej, zmieniał się co chwila, robiąc ją coraz ładniejszą; kto ją widział biegającą po terasie, z kaskadą włosów jasnych, spuszczonych wolno na ramiona, żywą jak iskra, hożą, wiotką, a tak zręczną w każdym ruchu, tak zwinną, musiał przyznać, iż jest uosobistnieniem gracji, prawdziwem wiosny wcieleniem. Chociaż żyła w otoczeniu poważnem, bez towarzystwa dla jej wieku stosownego, miała jednak dziecka swobodę. Rozwinięta nad lata fizycznie i umysłowo, czując się wolną i kochaną, roz-

kwitała niby kwiat piękny, któremu nie brak słońca ni powietrza. Jeździła konno, pluskała się w rzece jak rybka. Wszystko ją uczyło, bawiąc jednocześnie. Nabywała wiadomości ze świata roślinnego kwiatki zrywając, oswajała się z sztuką i mistrzów poznawała, przebiegając galerje pałacu, pełne arcydzieł malowanych i rzeźbionych, prądem magnetycznym, który z niej płynął, ożywiała niejako te postacie, bądź z ram wyzierające, bądź uśmiechające się do niej z piedestałów marmurowych. Żyła tedy w ścisłych stosunkach, tak ze świętemi Madonnami, jak i z boginiami Olimpu, podziwiała zarówno twarze marsowe dzielnych wojowników, jak i blade ascetyczne oblicza mnichów. Z dziaduniami (obydwóch staruszków tak nazywała) uczyła się więcej na serjo historji, geografji, tego wszystkiego, co jest nieodzownem dla osoby na jej stanowisku. Nauki ścisłe nie nużyły jej bynajmniej, z prawdziwą jednak roskoszą i namiętnością, oddawała się muzyce pod przewodnictwem Barini'ego, przepędzając cały czas wolny przy fortepianie, lub na ćwiczeniach w śpiewie.

— Minia z dniem każdym robi większe postępy — mówił książe z uznaniem uszczęśliwionemu artyście.

Ponieważ nowy atak hiragry, ubezwładnił na czas dłuższy, spuchnięte jak poduszki ręce lorda Stève i zrobił niemożliwą partję szachów, którą dwaj starcy wieczory sobie skracali, muzyka zatem wyłącznie je teraz zajmowała. Po duetach, Barini zaczął sprowadzać całe oper partytury. On brał na siebie wszystkie partje męskie, ona partje kobiece. Głos jej dźwięczny, giętki i czysty, był przytem niesłychanej objętości. Jak dzwonek srebrny dźwięcząc w tonach najwyższych sopranowych, zachwycał miękkością i rzewnością w tonach niskich, kontraltowych.

— Ależ to dziecię czyta nuty jak z książki! — zawołali obydwaj dziadziowie zachwyceni pierwszą taką próbą.

— Powiedziałem przecie, że będzie artystką pierwszorzędną! — uderzył się w piersi, pysząc się swoją elewką.

Nie długo i to im nie wystarczało: zapragnęli przedstawień jak w teatrze. Urządzono na prędce w wielkiej sali pałacu, rodzaj sceny, z podjum, kulisami, i rzędem lamp u dołu. Chociaż Erminja nigdy aktorów nie słyszała, umiała nadać uczuciom dotąd jej nie znanym, wyraz zawsze trafny i do głębi duszy przenikający. Ruchy jej były pełne prostoty, a tak piękne i tak estetyczne, iż mogły służyć za model rzeźbiarzowi. Staruszkowie patrząc na nią nie posiadali się z radości.

— Jak ona gra! — wykrzykiwał Barini.

— Jak śpiewa! — dodawali dziadziowie zachwyceni.

Wychowanie to, chociaż najstaranniejsze, jakie można było dać młodej panience, miało jednak i stronę ujemną. Erminja rosła zupełnie świata nie znając, nic nie wiedziała o jego pojęciach, przepisach, wymaganiach, nie krępowana w niczem, myślała głośno, pytała się o wszystko, nie domyślając się nawet, że zło istnieje i że bywają ludzie zawistni i lubiący szarpać sławę bliźniego. Nie była podejrzliwą, nie była ani próżną, ani zbyt nieśmiałą, nie spuszczała oczek jak fałszywe skromnisie, nie rzucała również w koło wzrokiem zuchwałym i wyzywającym, czego sobie pozwalają tak nazwane Emancypantki. Była jednem słowem na wskroś naturalną, bez krzty czegoś sztucznego. Dobro ukochała, idąc za serca popędem, piękno instynktem w duszy tkwiącym, wolność i swobodę zupełną, przez nawyknienie. Nie zastanawiała się nad tem wcale, czy są na ziemi inne jeszcze istoty, niż te, które zamieszkiwały z nią razem pałac zaczarowany.

Stosunki księcia ze światem, ograniczały się na jednym, lub dwóch listach przez rok, odbieranych z Florencji od bratanki. Była to linja stryjeczna margrabiów Sanseverone. Tak samo i lord Stève, który od wieków nie ruszył się z Alpino, korespondował jedynie z rządcą dóbr swoich w Anglji i Irlandji, (rodzina Stève pochodziła z Irlandji i wyznawała religję katolicką) i z siostrzenicą swoją, wdową, księżną Whitefield, której syn jedynak, po wygaśnięciu linji męskiej lordów Stève, według praw angielskich, strzegących pilnie całości *territorium* swojego, miał przyjąć po śmierci ostatniego lorda tegoż nazwiska, miejsce w izbie lordów i ordynację Stèveville. Oprócz tych dwóch istot pokrewnych, nic go więcej z krajem rodzinnym nie wiązało, we Włoszech zaś przyjacielem jego jedynym był szwagier, książe Sanseverone. Erminja była ukochaniem obu starców, patrzyli na nią jak na kwiat piękny, rozwijający się na szczycie Alp niedostępnych, cieszyli się, iż żadne inne oko, nie może spocząć na tej postaci czarującej, żaden inny śmiertelnik nie poi się wonią cudowną, tego ich kwiatuszka z pączka wystrzelającego. Nie zdając sobie sprawy, o ile miłość taka jest samolubną, nie pomyśleli nigdy, iż wkrótce dzieckiem być przestanie, że dzisiaj jest wprawdzie z losu swojego zadowoloną, może jednak zapragnąć czegoś więcej, może zostać sama jedna, bez opieki, w obec świata, którego nie znała zupełnie. Ona była ich szczęściem jedynem, bez niej życia nie pojmowali, i mimo, iż skończyła lat szesnaście, widzieli w niej zawsze [illegible]cinę, którą nie dawno na rękach kołysali.

Dnia pewnego książe odebrał list od margrabiny Sanseverone i zbladł śmiertelnie przebiegłszy go oczami. Wrąc gniewem, oddał papier zmięty szwagrowi. Po raz pierwszy uderzyło ich wzrok słowo straszne, o którem bali się mówić, bali się pomyśleć, rozłączenie z Erminją!

— To być nie może! — wykrzyknął książe po chwili głuchego milczenia.

— Niepodobna! — powtórzył lord Stève — była by to noc wieczna!

— Śmieć! — jęknął pierwszy.

— Tak, śmierć! — odezwał się niby wierne echo drugi — zresztą jest za młodą... Czekajmy, zostanie nam przynajmniej promyk nadziei.

— Czy on wart mojej wnuczki, ten jakiś młodzik nikomu nie znany! — zaczął znowu książe oburzony. — Śmieć odzywać się o rękę Minji, niby to pod pozorem, że nosi moje nazwisko i że jest z rodu tego samego! Alboż nie mógł się wyrodzić! Jakim-że to wielkim czynem się wsławił, aby na taki skarb zasłużyć? Chce nam wydrzeć światło naszych oczu, słońce ogrzewające dni naszych ostatek!

Znowu list odczytali. Margrabina prosiła w nim najsolenniej o rękę Erminji dla syna.

„Nie czuł-żebyś się szczęśliwym stryjaszku — brzmiały jej słowa — powierzając przed śmiercią szczęście wnuczki twojej ostatniemu Sanseverone? Widziałbyś w tych dwojgu dzieciach, uwiecznione imię twoje, rozkwitający na nowo pełnem życiem ród twój starożytny.“

— Nie przystaniesz, prawda? — spytał lord Stève, drżąc również z oburzenia.

— Pod żadnym warunkiem! — książe odrzucił energicznie. — Nieznajomemu!... od lat dwudziestu matki jego nie widziałem!...

Dwaj starcy znękani, spojrzeli sobie w oczy nawzajem. Czyż tak wiele żądali?! Chcieli skończyć życie obok tej, która była ich ostatnią miłością, ostatnim węzłem na ziemi! Ze wszystkich niegdyś ukochanych, to jedno dziecię im zostało i chcą im je zabrać! Wychowali ją, wykształcili, urobili na istotę doskonałą i dla kogo? Dla jakiegoś obcego intruza, który w niej widzi li bogatą dziedziczkę, spadkobierczynię wielkiego imienia. Czyż byłaby szczęśliwą z tym nieznajomym? Któż zaręczy, że nie jest on głupcem, graczem, libertynem?... Byłaby niezawodnie najnieszczęśliwszą, a teraz żyje swobodna, spokojna, w pięknym pałacu, otoczona przyjaciołmi, którzy o niej tylko myślą, którzy ją ubóstwiają. Czy przejdzie kiedy chmurka przez jej jasne czoło? Czy kiedy cień smutku zamglił blask jej oka? Czy pomyśli o pięknych nadskakujących kawalerach, bogatych strojach, marnych uciechach światowych? Serce jej czyste i spokojne, jak lazur nieba, uśmiech szczęścia igra na jej usteczkach purpurowych... nie! nie! nie oddadzą jej pierwszemu lepszemu!

Starcy mieli słuszność poniekąd. Erminja dotąd niczego więcej nie pragnęła. Jej serduszko niewinne, zadawalniało się czułością i pieszczotami dziaduniów, nie zapytała nawet, dla czego nie widuje takich pięknych, młodych rycerzy, jak ci, których na płótnie w galerji obrazów podziwia...

Cios jednak, który uderzył jak piorun w starców, zostawił im w sercu ranę otwartą; myśl o rozłączeniu prędzej czy później z Erminją, stała im jako widmo dzień i noc przed oczyma, sen z powiek spędzała, umysł niepokoiła. Wyłącznie byli tem zajęci: — „Kiedy i kto nam ją zabierze?!“ — Wzrokiem rozpaczliwym gonili ptaszka rajskiego, który mógł lada chwila frunąć złotemi skrzydełkami, w świat daleko... Ta ciągła obawa, truła im wszelkie roskosze. Skończą się więc najmilsze pogadanki, śpiewy cudowne! Nie usłyszą więcej jej głosu, nie zobaczą uśmieszku anielskiego! Innemu śpiewać będzie, do innego uśmiechać, nie bacząc na to, że oni zastygną, jak ziemia lodem ścięta, bez promieni ożywczych jej starań, jej pieszczot.

— Drogi przyjacielu — przemówił wreszcie lord Stève — takiego stanu dłużej nie wytrzymamy!

— To pewna! — westchnął książe. — Odpowiemy zatem każdemu, że póki żyjemy, nie odstąpimy jedynego skarbu naszego!

— Mam lat siedemdziesiąt i pięć — uśmiechnął się smutno lord Stève — w dodatku podagrę, hiragrę i tem podobnie... długo już nie pociągnę, wszak prawda?

— Jesteśmy w równym wieku — potrząsł książe głową — nie wiele nam się należy...

— Przyszedł mi pomysł, który mógłby nam trosk oszczędzić...

— Mów-że prędzej! — książe wykrzyknął — i niech cię Bóg błogosławi, jeżeli potrafisz usunąć nieszczęście, które nam grozi.

— Cóżbyś na to powiedział, gdybym ja poślubił Erminję?

Książe zadrżał; był przekonany, iż towarzysz ukochany zmysły postradał, tak mu się ten pomysł wydał dziwaczny.

— Słuchaj mnię tylko z uwagą — mówił dalej lord Stève niezrażony. — Przypuszczasz, iż śmierć dosięgnie mnie nie długo, nasze dziecię, zostałoby więc wdową, nie mając lat dwudziestu... to jest w kwiecie młodości, mając całą przyszłość przed sobą. Małżeństwo będzie czczą formalnością, która w niczem stosunków naszych nie zmieni, tylko wziąć nam jej nie dozwoli. Powiedzą może, że związek starca z dzieckiem szesnastoletniem, jest czemś potwornem, prawda! gdyby brać go na serjo... ależ ja zostanę czem byłem, jej dziaduniem po prostu, a gdy mnię nie stanie, wybierze męża między najszlachetniejszymi. Zostawszy lady Stève, oprócz ordynacji, którą nie wolno mi rozporządzać, odziedziczy wszystko. Nasze dwa majątki złączone, zrobią z Erminji najbogatszą partję w Europie.

Milczenie zapanowało.

— Myśl niezgorsza... lepsza, niż mi się zrazu wydała... Jest to zawsze promyk nadziei... Pomrzemy obydwaj niedługo... a tymczasem... Wolnoż nam jednak nadużywać dziecka nieświadomości, eksploatować niejako jej wiarę w nas, jej przywiązanie!

— Z nami czuje się szczęśliwą... Czy potrafi nią być z nieznajomym?... Niech nam Bóg przebaczy myśl samolubną... wszak i jej tym sposobem szczęście i spokój zapewniamy. Ofiara zresztą nie potrwa długo.

— I ja mam tę nadzieję — mruknął książe — czy jednak przystanie?

Po długiem zastanawianiu się nad małżeństwem projektowanem, dwaj starcy przyszli do przekonania, iż przedstawia same korzyści, a żadnych niedogodności.

Książe kazał wnuczkę do siebie poprosić. Serce biło mu gwałtownie, jak wtedy, gdy szedł na pierwszą

schadzkę miłośną. Weszła świeża jak wiosna, lekka jak ptaszek, uśmiechnięta anielsko.

— Usiądź tu przy mnie dziecino — książe umieścił ją obok na sofce, i dodał głosem drżacym: — Potrafiłabyś nas opuścić?

— Nigdy! — krzyknęła przerażona.

Wtedy zaczął jej tłumaczyć powoli trwogę ich śmiertelną, na myśl, iż mógłby ktoś pokusić się o coś podobnego, że obydwaj są bardzo starzy, że obawialiby się zostawić ją tak samotną bez opieki, chcieliby zatem dać jej odpowiedne stanowisko, żeby była wolną, mogła kiedyś wybrać sobie rodzaj życia, miejsce pobytu i męża, któryby ją w przyszłości osłaniał tarczą swej opieki.

— A więc po naszej śmierci...

— Na co mówisz o śmierci! — rzuciła się łkając na szyję dziadkowi. — Cóż bym ja poczęła na świecie bez moich dwóch dziadziów?

— Jesteś-że z nami szczęśliwą?! — przycisnął ją książe do serca.

Gdy go o tem czule i solennie zapewniła, nieśmiało, z ogródka, wystąpił z propozycją. Zrazu wypatrzyła się zdziwiona, następnie śmiechem parsknęła, biorąc to za żart. Zwróciła się do lorda Stève.

— Śmiej się dziecię, śmiej! — pocałował ją w czoło po ojcowsku. — Nie wyglądam na męża, co? Nie będę nim też, tylko dla formy, ażeby ci zapewnić na przyszłość wolność zupełną i niezależność, i zatrzymać cię przy sobie na resztę dni naszych... aby wiedzieć na pewno, że twoje rączki drogie zamkną nam na sen wieczny powieki.

Ten smutny obraz wywołał znowu łez potok, z oczek przed chwilą figlarnie i wesoło patrzących.

— Nie chcę słyszeć o rzeczach tak bolesnych! — zatkała sobie uszka dłońmi. — Jeżeli to ma wam zrobić przyjemność, przystaję najchętniej! Będę lady Stève, czy Minią, to mi jest zupełnie wszystko jedno, byle was widzieć szczęśliwych i wesoło się do mnie uśmiechających.

— Bądź błogosławioną! — szepnął książe głosem stłumionym.

— Niech Bóg wynagrodzi twoje poświęcenie! — przemówił lord blady, z twarzą łzami zalaną.

Małżeństwo niezwykłe zostało zadecydowane. Barini zgodził się na nie z całej duszy. Widział w niem ustalenie szczęścia dla wszystkich na dziś; co do przyszłości, o tej nigdy nie myślał. Służba szeptała i cicho po kątach chichotała; zrozumieli jednak i oni, jak wielkie korzyści przyniesie Erminji to małżeństwo pod względem majątkowym, i jak na krótko będzie zawartem.

Lord Stève zapowiedział małżeństwo księżnie Whitefield i jej synowi, zamówił również z Paryża przepyszne Corbeille de Noces.

Erminja przywdziewała wesoło cudowne toalety, podziwiała i bawiła się klejnotami, jakby to były nowe, nie widziane dotąd cacka i zabawki. Rozpromienienie twarzy jej przyjaciół jedynych i ją uszczęśliwiało; znajdowała to całkiem w porządku, że w zamian za starania, żądają żeby ich do śmierci nie opuszczała; niczego przy nich nie żałowała, a cieszyła się pięknemi strojami; obracała do słońca garnitury kosztowne z brylantów, i różnych innych kamieni, podziwiając ich blask, mieniący się jak tęcza; otaczała szyjkę perłami, i kładła na głowę djadem brylantowy. Nic nie mięszało jej radości dziecinnej; wesoło i najspokojniej przywdziała strój ślubny, przypięła długi welon koronkowy, i główkę jasną przystroiła wieńcem z kwiatu pomarańczowego.

— Ah! Marietto! — zawołała do swojej starej piastunki, przezierając się cała w olbrzymiem źwierciedle — jaka ja piękna! Trzebaby Pawła Veronese, aby oddać na płótnie te miękie fałdy białej sukni atłasowej, i te cudne perły na mojej szyi, których blask nie jaskrawy, przypomina łagodne światło księżyca...

Gdy dziadek przyszedł po nią, oparła się na jego ramieniu ze zwykłą lubą pieszczotliwością, i nawet serce jej szybciej i silniej nie uderzyło.

Podczas ślubnej ceremonji Barini odszukał w piersi głos tak czysty i dźwięczny, jak za czasów sławy jego. Erminja słuchała z zachwytem, nie myśląc nawet, iż wiąże się przysięgą „aż do zgonu!"

Po wyjściu z kaplicy, lord Stève pocałował w czoło młodą małżonkę i odniesiono go do pałacu. Książe sam odprowadził wnuczkę do jej pokoju dziewiczego, uściskał ją raz jeszcze, odetchnął głęboko, jakby mu kamień spadł z serca, jak gdyby Bóg mu ten skarb darował powtórnie, i szepnął:

— Już nam cię teraz nikt nie zabierze! — i wyszedł życząc jej dobrej nocy.

Nazajutrz, gdy oczy otworzyła, a Marietta poczciwa zatytułowała ją „milady", na nowo śmiechem wybuchnęła... Przypomniała sobie jak cudownie śpiewał Barini, i zaśpiewała ten sam kawałek, czy też potrafi go naśladować? Następnie, jak codzień, kwiatki swoje podlała, ptaszki nakarmiła... a przystroiwszy się z pewną kokieterją, poszła powiedzieć dzieńdobry dziaduniom. Uściskała ich po kolei. Lord Stève miał atak okropny podagry, i ruszyć się nie mógł wcale.

Cóż się zatem wczoraj zdarzyło? Nic, coby mogło zakłócić spokojność mieszkańców pałacu. Prędko nawet o tym wypadku nadzwyczajnym zapomniano. Minia używała tych samych przyjemności, pracowała z tą samą usilnością, wprawiała starców w zachwyt nadziemski wykonywaniem oper mistrzów dawnych i teraźniejszych, dziwiąc ich coraz więcej niesłychaną głosu objętością i grą niezrównaną. Barini'emu zawdzięczała metodę wyborną, wymowę czystą, smak we wszystkiem wytworny. Książę przenosił w siódme niebo starego śpiewaka, jeżeli kiedy mu się wymknęło:

— Co by to była za Prima-Donna! Na scenie zrobiła by furorę!

O małżeństwie nikt ani pomyślał, a Minia mniej niż ktokolwiek. Śmiała się jak dawniej swobodnie, tak samo biegała i skakała jak młoda sarneczka, miała te same ruchy pełne gracji niewymuszonej, tak samo

tak przedtem nie wiedziała co to smutek, troska lub nuda, żyła dalej w atmosferze czułości, pieszczot i spokoju zupełnego.

Nic atoli wiecznie trwać nie może, nawet i szczęście tak niewinnej. Książe nagle, jak dąb odwieczny piorunem strzaskany, padł na łóżko i nie podniósł się więcej. Skonał w najdroższą wnuczkę zapatrzony, jakby chciał obraz jej wziąć z sobą do grobu nawet.

Pierwsza boleść zdaje nam się okrucieństwem, niesprawiedliwością ze strony Opatrzności. Erminja w rozpaczy pogrążona, nie zastanawiała się nad wiekiem zgrzybiałym tego, który ją opuszczał. Radaby była ceną dni własnych okupić dłuższe życie dziadka, i spóźnić godzinę bolesnego rozłączenia.

Co do lorda Stève, ten wiedział, iż nie będzie miał nawet tyle czasu, aby przeboleć stratę przyjaciela, gdyż wkrótce za nim podąży. Chociaż ciężko zasmucony śmiercią, której on, jako słabszy, prędzej dla siebie się spodziewał, miał na tyle odwagi, iż zapomniał o własnej boleści, aby tylko pocieszyć i rozerwać Erminję. Przyjmował chętnie, a nawet prosił ją o przysługi rozmaite; mówił wiele, z czułością o drogim zmarłym; zatrzymywał godzinami przy sobie biedną, rozpływającą się w żalu sierotę.

Barini był zupełnie do niczego; włóczył się z pokoju do pokoju, jak dusza pokutująca, a jeżeli spotkał Erminję, wybuchał łzami rzewnemi i ją do płaczu spazmatycznego przywodził.

Lord Stève, zaślubiając swoją wnuczkę cioteczną, przeczuwał, iż zostaną jej długie lata młodości, wolnej od wszelkich trosk i więzów. W trzy miesiące po księciu, złożono i lorda Stève w grobowcu rodzinnym obok siostry, a młoda wdówka została samotną, bez opieki, bez przewodnika, bo na całym świecie miała już teraz jednego tylko starego przyjaciela Barini'ego, którego umysł niepraktyczny, mimo iż byłby chętnie oddał ostatnią krwi kropelkę dla dobra Erminji, nie był w stanie osłonić jej stosowną opieką, i poprowadzić po krętych nieraz i niebezpiecznych ścieżkach żywota.

II.

W żalu pogrążona, okryta żałobą podwójną, o której myślała, iż wieczną pozostanie, Erminja była zrazu przekonaną, iż wkrótce połączy się tam w górze, z dziadkami najdroższymi. Otoczyła się pamiątkami po nieobecnych, wyobrażała sobie, że duchy ich z nią przemieszkują, że żyje i działa dotąd pod ich wzrokiem łagodnym, czułym, każdy jej krok strzegącym. Żal szczery potrafi życie zapełnić, jakby zajęcie najbardziej światowe. Erminja siadała pomiędzy dwoma próżnemi fotelami, i zdawało jej się, że rozmawia jak dawniej z ukochanymi.

Po tym pierwszym okresie, nastąpił drugi, mniej rozpaczliwy. Żal i najgłębszy, prędko ustępuje z serca ośmnastoletniego. Ściska się zrazu pod ciosem straszliwym, wkrótce jednak stacza walkę ze smutkiem gnębiącym, siła żywotna, jaką młodość tylko posiada, zwycięża, a serce znowu bić zaczyna dla wesołości i roskoszy ziemskich.

Zrazu wyłącznie prawie rozmawiała z Barinim o drogich zmarłych; łzy podzielone, są mniej gorżkie i mniej palące. Po sześciu miesiącach, rozmowy stały się mniej smutnemi, jeszcze później uśmiech pojawił się na ustach i w oczach, które zdawały się tylko do łez przeznaczone, twarzyczka na nowo rozkwitła rumieńcem, jak kielich kwiatu, który wychyla się ku słońcu, pełen barwy i woni, choć przeciska się przez marmury, tworzące podstawę pysznego *Mausoleum.* Przy końcu roku, już tylko od czasu do czasu, jakiś wypadek nadzwyczajny, spojrzenie rzucone na przedmiot, należący do codziennego użytku lorda lub księcia, wywoływały w pamięci wnuczki i wdowy smutną przeszłość.

— Dziadzio Stève tak mi to tłumaczył — mówiła wtedy z lekkiem westchnieniem. — Dziadzio Geronimo o tej godzinie pieścił się ze mną i gawędził o tem i owem... przypominasz sobie Barini?...

Wreszcie wróciła z tryumfem dawna wesołość, jak królowa, która na jakiś czas skazana na wygnanie, wraca z orszakiem świetnym do państwa swojego. Erminja śpiewać i grać zaczęła, i wkrótce ten powrót do życia kazał jej uwierzyć, iż nic jej do szczęścia nie braknie, skoro patrzą z góry i modlą się do Boga ci, którzy na ziemi nad wszystko ją kochali.

Jednak po jakimś czasie, jak ptak w klatce zamknięty, próbuje daremnie rozwinąć skrzydła do lotu, tak i Erminja pytać się zaczęła, co też kryje się po za ciasnym widnokręgiem, który dotąd ją otaczał? Odnowiły się w sercu bolesne wspomnienia, pałac wydał jej się pustym, bez tych, którzy myśleć ją nauczyli, i własnych poglądów udzielali, którzy umysł jej wznosili w wyższe sfery, gdzie czuła się swobodną i jakby z więzów ziemskich uwolnioną. Cierpiała czując brak pokarmu duchowego, gdy nie stało owych najmilszych, kształcących ją pogadanek. Drażniła ją ciemnota Barini'ego, we wszystkiem, co nieodnosiło się do muzyki.

Nuda śmiertelna, dotąd nie znana, opanowywała ją powoli. Wtedy Barini widząc jej zniechęcenie i brak zajęcia, pierwszy zaproponował wycieczkę na dni kilka do Neapolu.

W wieku Erminji, zmienić miejsce pobytu i gonić za czemś nieznanem, znaczy tyle, co iść naprzeciw nadziei. Przyjęła projekt z zapałem i zaczęła krzątać się wesoło, przygotowując wszystko do podróży.

W dni kilka, pyszny ekwipaż, czwórką arabczyków zaprzężony i furgon pod rzeczy, uwoziły Erminję z Barinim i starego kamerdynera Domenico z nieodstępną jej piastunką Mariettą, ku miastu tak sławnemu z piękności uroczej.

Zdrowie i młodość, są wesołymi towarzyszami w podróży. Zmieniają w piasek złoty kurz przydrożny, drzewa, które mijamy, zdają się nam kłaniać, niby dobrzy przyjaciele; widzimy przed sobą jakiś świat zaczarowany, pełen blasków ułudnych, jak owe ogrody

w bajkach, opowiadanych nam w dzieciństwie, gdzie liście na drzewach były szmaragdowe, a owoce złote, brylantami wysadzane. Krzyknęła zdziwiona, gdy stanęli przed pałacem, najętym dla lady Stève przez Barini'ego. Myślała, iż podróż dopiero się rozpoczęła.

Ruch uliczny, tłum ludzi snujący się bezustannie, turkot powozów hałaśliwy, odurzały zrazu naszą wieśniaczkę, nawykłą do ciszy uroczystej sal wielkich w pałacu, do leśnego spokoju, do szmeru tajemniczego wodotrysków, powietrze odświeżających. Nazajutrz, gdy obudziwszy się, żaluzje otworzyć kazała, słońce, ten jej stary znajomy i wierny towarzysz, wpadło do pokoju całym snopem promieni, złocąc posadzkę marmurową, rząd pałaców przed oknami, a w dali morze niebieskawe. Zachwycona rzuciła się na kolana, podziwiając po raz pierwszy boską wielkość i nieskończoność, w tem odbiciu ruchomem, walczącem niemal o pierwszeństwo, co do ogromu i piękności, z nieba stropem lazurowym.

Marietta musiała siłą prawie oderwać ją od widoku czarownego. Erminja skoro się ubrała, zamówiła sobie barkę i zeszła nad brzeg morski. Dzień cały bujała po tej płaszczyźnie ruchomej, nie czując gorąca ni zmęczenia. Przysłuchiwała się spiewom lazzaronów, goniła okiem fale srebrzyste, w których odbijały się lekkie chmurki, niby stado puszystych łabędzi.

Nazajutrz Marietta pokazała jej kościoły. Tam ukryta w półcieniu, modliła się gorąco za spokój drogich zmarłych, których pamięć żywo w sercu się odnowiła w ciszy uroczystej, pod wysokiemi, sklepionemi misternie arkadami. Wróciła z wycieczki w skupieniu ducha, pełna powagi, i zadrżała, gdy Barini do niej przemówił głosem ożywionym:

— *Carissima mia*! zamówiłem lożę na dzisiaj. Dają Flet czarodziejski Mozarta;... umiesz go na pamięć!... usłyszymy sławną Clemenzę.

Stary śpiewak zaczął sobie przypominać artystów rozmaitych, z którymi występował w tej operze i zbierał razem wieńce i tryumfy. Chwalił ich i ganił na przemiany, rozwodząc się przytem nad różnemi metodami.

Było to przedstawienie galowe, nadzwyczajne. Sala *a giorno* oświetlona, zachwyciła Erminję, orkiestra podniosła ją w siódme niebo! Nie miała wyobrażenia o takiej sile harmonji i czuła się niemal upojoną doborem i zgadzaniem się głosów w chórach. Ukazała się wreszcie Clemenza, zaśpiewała i wybuchła burza oklasków. Zdziwiło to cokolwiek lady Stève, która i słusznie, zarzucała artystce, iż samowolnie wypacza mistrza arcydzieło.

— Inaczej się to śpiewać powinno! inaczej!... — powtarzała z cicha swojemu towarzyszowi.

— Byłem tego pewny! — wzruszył litościwie ramionami. — Przeładowanie *fioriturami*, fałszywe zrozumienie, przesada w wymowie, metoda... żadna!

Skoro wrócili do pałacu, lady Stève fortepian otworzyła i zaśpiewała to samo z takiem czuciem głębokiem, z takiem poszanowaniem dla myśli kompozytora, tak genjalnie jednem słowem, iż Barini wykrzyknął upojony:

— *Brava*! *Bravissima*!... *O cara mia*! gdybyś nie była wielką damą, zrobiłabyś majątek kolosalny na scenie, a twojemu staremu nauczycielowi zapewniła sławę nieśmiertelną! Przy tobie Clemenza to prosta katarynka!

Nie opuścili odtąd żadnego przedstawienia... Co by to była za roskosz niebiańska, śpiewać z akompaniamentem takiej orkiestry! Erminja czuła, że głos jej o wiele piękniejszy i talent wyższy, od owej podziwianej Clemenzji. Barini zresztą powtarzał bez końca:

— Jesteś najlepszą śpiewaczką we Włoszech, jak ja byłem najpierwszym tenorem. Masz metodę Barini'ego, a głos Sanseverone'ów!

Gdy minęły cztery tygodnie, które miała Erminja przepędzić w Neapolu, wróciła do swojego ukochanego Alpino. Zrazu cieszyło ją wszystko w pięknym pałacu, wciągała całą piersią świeże, wonne powietrze, przechadzając się po cudownym ogrodzie; robiła konno wycieczki dalekie do lasów cienistych; odszukała z przyjemnością swoje konie, psy, kanarki i papugi; oprócz teatru i morza, nic ją tak dalece w życiu miastowem nie zachwyciło; w Alpino czuła się więcej u siebie, otoczona przedmiotami dobrze jej znanemi, niż tam, w gwarze miejskim, jednostka gubiąca się w tłumie.

Używała czas jakiś tej przyjemności, iż mogła błądzić w dzień i nocy, po całem swojem *territorium*, bez trwogi i przymusu, w pośród licznej służby, posłusznej na jej skinienie, jak poddani na rozkaz królowej.

(Ciąg dalszy nastąpi)

---

# Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

Paulina, która dotąd nie pokazywała się nigdzie, wyszła tego dnia na przechadzkę.

Była nawet w lasku bulońskim, spodziewając się, że spotka tam może kogo, kto jej powie coś o panu de Maugeville.

Trafiło się, że gdy powozik jej mijał szereg powozów, spostrzegła barona Hounot, tego roztrzepańca, który doniósł o śmierci Corinny.

Baron ukłonił się jej, a ponieważ kiwnęła na niego, zbliżył się.

Paulina była bladą, ale już nie płakała, i siliła się nawet na uśmiech.

— Kochany baronie — rzekła do niego podając mu rękę — jadę do Madritu, jedź ze mną. Każ swego konia potrzymać i wyjdź naprzeciw mnie. Potrzebuję kilka słów pomówić z tobą.

Baronowi nie trza było dwa razy mówić; puścił konia galopem, podczas gdy Paulina kazała swemu

furmanowi zawrócić, i przybył do Madritu w kilka minut; potem wyszedł na spotkanie Pauliny, która jechała zwolna i siadł obok niej w powozie.

— Mój przyjacielu — rzekła wtedy młoda kobieta — wiesz, że żyłam w przyjaźni z Corinną Destremont?

— Słyszałem.

— Wyjeżdżałam z Paryża, i nie wiem nic, co dzienniki o tem pisały, a domyślam się, że ty baronie musisz wiedzieć dokładnie o wszystkiem.

— Jestem o tem lepiej powiadomiony kochana Paulino — odpowiedział baron — ponieważ przyjeżdżam z Burgundji. Markiz B. zaprosił mię na pogrzeb Corinny i pojechałem.

— A więc bądź pan tak dobrym i opowiedz mi wszystko.

Baron nie dał się prosić, opowiedział wszystko, co wiemy już, dodając, iż to jest teraz pewnem, że brylanty zostały skradzione przez ludzi złej reputacji, zowiących się Balthazarami. Ludzie ci zniknęli. Opis ich został wysłany wszystkim brygadom żandarmerji, ale dotąd poszukiwania nie odniosły żadnego skutku.

— Ale jakimże sposobem — rzekła Paulina — Corinna była u markiza, z którym już zerwała oddawna?

— Tego nie wiem.

— Byłeś pan tam długo?

— Dwa dni.

— Czy widziałeś pan także drugiego przyjaciela Corinny, Villenave'a?

— Naturalnie.

— Tak! widziałeś go baronie?... Mówią, że ma się żenić?

— Moja kochana przyjaciółko — rzekł baron — jeżeli zechcesz zjeść obiad ze mną, opowiem ci całą historję o małżeństwie Villenave'a. To romans dwu-tomowy!

— Doprawdy? — I Paulina miała na tyle siły, że przybrała minę naiwną i zdziwioną.

Weszli do restauracji w Madricie i usiedli w osobnym pokoju.

Wtedy p. Hounot opowiedział Paulinie ze wszystkiemi szczegółami ten dramat, który jest już znany, a o którym markiz opowiedział mu szeroko.

Pani de Planche-Mibray pochodziła z rodziny cygańskiej. I dlatego to wzbudziła miłość szaloną i namiętną w cyganie, imieniem Munito. Ten cygan zamordował pana de Maugeville, narzeczonego baronowej, a przynajmniej tak przypuszczają, bo dotąd nie odnaleziono ciała tegoż.

Usłyszawszy to Paulina drgnęła.

— Doprawdy?! — rzekła — nie ma dowodu śmierci pana de Maugeville?

— Nie.

— Jednakże zabito go?

— Domyślają tego z powodu kałuży krwi, którą znaleziono na drodze, a potem wskutek ostrożności przedsięwziętych przez Munita, który ukrywał się długo, mimo poszukiwań najstaranniejszych.

— O! Boże mój! — pomyślała Paulina — gdyby też on nie umarł!

I w sercu jej, które sądziła zamarłem, drgnęło coś niby promyk nadziei.

— Ale przecie — odezwała się znowu — złapano tego cygana?

— Gdzietam. To Villenave go zabił.

— Jakto?

— Człowiek ten dostał się aż do pokoju baronowej, gdy p. de Villenave zjawił się, i wystrzałem z rewolweru roztrzaskał mu głowę.

— Wiec zapewne przez wdzięczność pani de Planche-Mibray postanowiła oddać mu swą rękę?

— Najprawdopodobniej.

— Dziękuję ci baronie — rzekła zimno Paulina. — Jesteś chodzącą gazetą. — I zaczęła jeść pospiesznie, aby skrócić to sam na sam, a o pół do dziesiątej zażądała powozu i wróciła do Paryża.

Pokojowa oczekiwała ją z największą niecierpliwością.

— Cóż tam znowu nowego? — zapytała Paulina, widząc ją tak wzruszoną.

— Pani — odpowiedziała Jenny — hiszpanka pojechała,

— Jaka hiszpanka?

— Ta z przeciwka.

— Cóż dalej?

— Nie wiem gdzie pojechała, ale z pewnością coś złego się święci.

Paulina drgnęła.

— Proszę cię — rzekła — wytłumacz się jaśniej?...

— Proszę pani — mówiła Jenny — w tym domu naprzeciw jest lokaj, który się zna ze mną.

— Cóż z tego?

— Od niego dowiedziałam się o porwaniu pana de Villenave.

— A dalej?

— Ten lokaj, który nazywa się Wiktor, przyszedł tu przed chwilą pytając mnie:

— Czy twoja pani zna pana de Villenave?

— Ależ wybornie — odpowiedziałam.

— A więc chodź ze mną... dowiesz się coś ciekawego.

Poszłam z nim, a on zaprowadził mię do mieszkania swego pana, który jest jeszcze w podróży, a którego mieszkanie przytyka do mieszkania cyganki Dolorés.

— A! — szepnęła Paulina.

— Otworzył szafę, w której są drzwi ukryte, i spostrzegłam szparę, przez którą przebijało się światło. Było już po zachodzie słońca. Byliśmy w cieniu, a pokój, który znajdował się z drugiej strony drzwi, był oświecony. Przyłożyłam oko do szpary i patrzyłam. Cyganka nie była sama; była z swoim hiszpanem. Ten leżał na kanapie i palił spokojnie cygaretto. Cyganka chodziła po pokoju tam i napowrót. Oczy jej błyszczały, włosy miała rozrzucone, i była podobna do zwierzęcia dzikiego, schwytanego w łapkę. Zaczęłam się przysłuchiwać.

— Jak będziesz się tak rzucać i biegać — mówił

hiszpan z flegmą — czy wskrzesisz Munita?

— O! ja go pomszczę!

Hiszpan wzruszał ramionami mówiąc:

— Na twojem miejscu nie irytowałbym się tak bardzo. Był to zawsze kłopot, który miałaś na barkach.

— Ależ to był mój brat!

— Cóż z tego? To nie racja...

— Pomszczę go koniecznie, mówię ci!

— Ale jakim sposobem?

— Najpierw zabiję jego mordercę.

— Villenave'a?

— Tak.

I wziąwszy sztylet z kominka, wstrząsnęła nim gwałtownie.

— Moja kochana — rzekł zimno hiszpan — jeżeli zabijesz Villennve'a, zamkną cię, osądzą, i zginiesz pod gilotyną.

— Mniejsza o to!

Hiszpan wzruszył znowu ramionami i nic nie odpowiedział. Dolorés mówiła dalej z zapałem i uniesieniem co raz większem.

— A potem tę kobietę, która jest powodem jego śmierci! muszę zgnieść!

— Corinnę?

— Nie, baronowę... Córka cyganów jak i my, wyparła się nas, nie uznała miłości Munita...

— To pojmuję! — odrzekł hiszpan, śmiejąc się.

— Musi umrzeć!

I Dolorés ściskała gwałtownie sztylet w rękach.

— Droga moja — odezwał się znowu hiszpan — czy chcesz moją radę?

— Chcę pomścić Munita!

— Dobrze, ale chcesz radę?

— Mów.

— Jesteś cyganką. Cyganie tak dobrze używają trucizny jak noża.

— To prawda.

— Użyj więc trucizny, to bezpieczniejsze, a potem sądowi trudniej dojść końca.

— Masz słuszność -- odrzekła Dolorés — obaczę...

I tak rozmawiając, robiła przygotowania do odjazdu. Ubrała się w długi płaszcz podróżny, schowała w woreczek jakąś maleńką flaszeczkę, w której podejrzywam, że musi być coś niedobrego, i posłała murzyna po dorożkę. Pożegnała się z hiszpanem dość zimno, a ten całując ją rzekł:

— Daję ci dwa tygodnie czasu. Jeżeli nie powrócisz po dwóch tygodniach, powracam do Hiszpanji.

— Powrócę, gdy wszyscy zginą — odpowiedziała.

— Wtedy, proszę pani — ciągnęła dalej Jenny — opuściłam moje miejsce i zbliżyłam się do okna za storami. Widziałam, jak Dolorés wsiadła do powozu. Gdzie pojechała? Otóż to, czego nie wiem... Ale mogę pani zaręczyć, że p. de Villenave i pani de Planche-Mibray, są z pewnością w niebezpieczeństwie śmierci.

Paulina nic nie odpowiedziała. Zamknęła się w gabinecie i zmieniła ubranie.

W kwadrans potem zdziwiona Jenny obaczyła ją wychodzącą w ubraniu podróżnem.

— Jakto? — zawołała — więc pani nie jutro odjeżdża?

— Nie, dziś wieczór, natychmiast! Nie ma chwili do stracenia. Muszę ratować panią de Planche-Mibray!

Ale chociaż spieszyła się jak mogła, Paulina przybyła dopiero na dworzec kolei o szóstej wieczór. Pociąg do Auxerre był już odjechał.

Trzeba było czekać do jutra rana. Jednakże urzędnik, do którego się udała, powiedział jej, że o jedenastej odjeżdża pociąg drugi do Skały, i przyjeżdża tam rano o godzinie piątej, i że chociaż wprawdzie nie ma tam fornalek do Auxerre, ale ponieważ to bardzo blisko, z pewnością znajdzie jakiś powóz, który odwiezie ją do Auxerre

Paulina czekała.

Pojechała o godzinie jedenastej, przebyła sześć długich godzin w wagonie i przyjechała do Skały. Tam straciła przeszło dwie godziny, nim wynalazła wózek.

Nareszcie wynajęła jakąś bryczkę, której właściciel obiecał ją zawieść do Auxerre, za wynagrodzeniem trzydziestu franków. I Paulina puściła się dalej w drogę.

W kwadrans potem, wyjeżdżając z miasteczka Moniteau, spostrzegła żebraczkę na drodze.

Żebraczka ta obróciła się i spojrzała ponuro na wózek, w którym siedziała Paulina obok swego przewodnika.

Kobieta ta w łachmanach była młoda jeszcze, piękna, o twarzy mulatki.

Paulina widziała ją tylko przelotnie, bo wózek pędził szybko, ale dreszcz przeszedł ją całą. Zdawało jej się, że kobieta ta podobną była do Dolorés cyganki...

Jednakże po zastanowieniu, przypuszczenie to wydało jej się niedorzecznem. Dolorés wyjechała z Paryża wczoraj wieczór, to prawda, ale wyjechała jako kobieta wielkiego świata.

Jakże przypuścić, żeby na drodze zmieniła się nagle w żebraczkę, włóczącą się po drogach?

— Jestem szaloną! — szepnęła do siebie Paulina Régis.

W godzinę potem zajechała do hotelu du Léopard, i wypytywała się o drogę do zamku de Planche-Mibray.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## *Od wydawnictwa.*

Z początkiem lipca rozpoczniemy druk jednej z najnowszych powieści Wernerowej, która w sferze literackiej obudza nie zwykłe zajęcie, pod tytułem: **Zaklęty** i **odczarowany.**

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.